

ERIN GOVISE



#2

GŁĘBOKI WDECH

Jak przemycić miłość?



Copyright © Erin Govise

Copyright © Wydawnictwo ReWizja

Wydanie I

Wilkszyn 2022

ISBN 978-83-67520-05-8-999

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Projekt okładki: Katarzyna Mordal

Zdjęcie na okładce: stock.chroma.pl / ELYMAS

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wydawnictwo ReWizja

Rozdział 9

Dopiero kiedy wsiadam do auta, jestem w stanie wypuścić do końca powietrze. Czuję, jak rozpadam się na milion kawałeczków. Dopada mnie strach. Wiem, że zagrałam va banque, ale opłaciło się, przynajmniej na razie. Mam nadzieję, że Navarro nie dowie się o tym, że wycieram sobie ich nazwiskiem usta. Nie powinnam tego robić, ale nie było innego wyjścia.

Nie wyczuli we mnie słabości i to jest w tej chwili najważniejsze. Wyjeżdżam z terenu posesji, kurczowo trzymając się kierownicy. Wszystkie mięśnie w rękach mam napięte i dopiero kiedy przekraczamy bramę, zaczyna mnie puszczać. Najpierw trzęsę się w środku, aż w końcu moje ciało zaczyna drgać razem z duszą.

Zatrzymuję się kilka przecznic dalej. Samu patrzy na mnie, próbuje mnie dotknąć, ale wzdrygam się, kiedy jego dłoń ląduje na moim ramieniu.

– Już dobrze – mówi do mnie spokojnie.

Nie odpowiadam. Nie potrzebuję jego pomocy. Sama muszę się pozbierać. Nikt nie jest w stanie opanować moich emocji, poza mną samą. Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Wszystko wokół mnie znika. Jestem tylko ja i cisza w mojej głowie. Pozbywam się z niej myśli i wszystkich zmartwień. Nie boję się już. Otwieram oczy i wypuszczam głośno powietrze.

Uśmiecham się do Samu, dając mu znać, że już wszystko jest okej. Ruszamy w dalszą podróż. Dla mojego przyjaciela kończy się ona po pokonaniu kilku kolejnych przecznic. Wysiada z auta, ale nie zamyka od razu drzwi.

– O nic się nie martw – mówi, zanim odchodzi.

Zawsze się martwi i na pewno nigdy nie przestanie. Ufam mu, ale wiem, ile rzeczy może pójść nie tak. Przygotowanie miejsca przekazania w ciągu doby nie należy do najłatwiejszych. Samu nie będzie robił tego po raz pierwszy, ale to nie zmienia faktu ryzyka, które i on i ja ponosimy. Do tego jeszcze Mark i Jesus są na mojej głowie. O tyle o ile w przypadku Jesusa jestem chwilowo spokojna, to Mark jest dla mnie niewiadomą, którą niezwłocznie muszę się zająć.

Po powrocie do domu pierwsze, co robię, to szukam serwetki z numerem Marka. Trzymam przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej. Znajduję ją wreszcie w torebce, którą miałam ze sobą wczoraj. Wybieram jego numer i...

Nie mogę nacisnąć zielonej słuchawki, jakby mój kciuk zablokował się w jednej pozycji. Nie kontroluję się. Idę z telefonem w rękę do salonu. Siadam na fotelu, odgarniam włosy i przecieram twarz.

– Skup się! – mówię do siebie.

Nie wiem nawet, czy odbierze, więc nie mam się czym przejmować. W końcu wybieram połączenie, jeden sygnał, drugi.

– Uff. – Wzdycham. – Nie odbierze.

– Co mówiłaś? – Słyszę w słuchawce.

Podskakuję na fotelu, a serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Łapię się za klatkę piersiową.

– O kurwa! – krzyczę, jakbym była nieświadoma, że jestem na linii z Markiem.

– Marina? – parska śmiechem. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak – powtarzam, próbując się opanować. – Słuchaj, Mark – zaczynam z powagą w głosie. – Wczoraj uciekłam w połowie spotkania, może umówimy się dzisiaj na kolację? – pytam.

Przez chwilę nie odpowiada. Czyżby jednak nie był mną zainteresowany? Właściwie to jak on śmie. W jednej chwili stres przeradza się w złość. Zaciskam pięści i już mam na niego

krzyknąć i przywołać go do porządku kiedy...

– Jasne, o której po ciebie przyjechać? – pyta, a ja czuję entuzjazm w jego głosie.

– O siódmej, ale spotkamy się na miejscu – kończę i już mam się rozłączać.

– Jakim miejscu? – pyta, a ja wybucham śmiechem.

– No tak, przy moło w South Beach – odpowiadam i rozłączam się.

Ciskam telefonem na sofę obok siebie i aż mam ochotę wykonać zwyczajny taniec, ale tego nie robię. Muszę pozbyć się chęci przebywania z tym typem. W końcu jest on dla mnie przeszkodą, której muszę się pozbyć. Przywiązanie emocjonalne na pewno nie pomoże mi w wykonaniu zadania. Tylko co zrobić, jak z każdym jego kolejnym słowem coraz bardziej go pragnę?

Nawet nie wiem, dlaczego przed tym spotkaniem urządzam sobie domowe SPA. Leżę w wannie i doprowadzam moje ciało do gładkości, tak jakbym podświadomie liczyła na to, że ta kolacja pociągnie za sobą dalszy ciąg zdarzeń.

Tłumaczę to sobie tym, że kobieta zawsze musi być opakowana w swoje najlepsze wydanie.

Wszyscy jednak wiemy, jaka jest prawda...

Dlaczego to właśnie mi przydarzają się takie rzeczy? Jak nie przystojny policjant, to syn szefa kartelu. No i do tego wszystkiego jeszcze zakochany we mnie po uszy Samu, którego nigdy w życiu nie chciałabym skrzywdzić. Chyba najlepszym wyjściem byłoby zniknięcie.

Wychodzę w końcu z wanny i owijam się ręcznikiem. Tworzę turban na głowie i tak idę ze szczoteczką w ustach do salonu. Siadam na fotelu i zastygam. Cholera, ja chcę tam iść, a nie powinnam tego pragnąć. W głębi duszy liczę, że moje podejrzenia okażą się nieprawdziwe. Nasza relacja i tak nie ma szansy na rozwój, ale przynajmniej wtedy Mark zachowa życie. Nie będę musiała ujawniać przed nim swojej gorszej strony.

Wybierając wieczorową kreację, nastawiam się na to, żeby go zabolalo, ale żeby nie wiedział, z której strony. Muszę błyszczeć, a jego oczy mają być skierowane wyłącznie w moim kierunku. Ma to być przykrycie dla kłamstw, które będę mu powoli dozować. Nie może się w tym połapać, jeśli jeszcze nie wie. Podwójna gra zaczyna się w momencie, kiedy wciskam moje cztery litery w cholernie obcisłą czerwoną sukienkę, z rozcięciem między nogami. Mark jest wysoki, więc mogę sobie pozwolić na niebywale wysokie szpilki, wysadzane malutkimi kryształkami.

Idąc do samochodu, zaczynam zatracać się w myślach. Biorę głęboki wdech, a w mojej głowie pokazuje się przyszłość, nierealna, a zarazem piękna. Nie chodzi tutaj o Marka, tylko o mnie. Ja i męski osobnik u mojego boku. Czuję na dłoni silny uścisk mężczyzny. Jestem spokojna, pozbawiona jakiegokolwiek stresu. Przez chwilę czuję się inaczej niż zwykle. Wypuszczam powietrze.

Nie, jednak samochód nie będzie dobrym wyborem na ten wieczór. Najlepszym sposobem, żeby rozwiązać mu język, będzie upicie go do stanu, w którym nie będzie kontrolował, co mówi. Wyjmuję z torebki telefon i dzwonię po taksówkę. Oczekując na transport, odpalam papierosa. Zaciągam się dwa, może trzy razy, aż w oddali zauważam zbliżające się światła. Nawet papierosa mi nie da dokończyć, a zwykle tyle czasu każą na siebie czekać.

Właściwie to on za szybko przyjechał, więc wsiałam z żarzącym się wyrobem tytoniowym do środka. Widzę, jak kierowca kręci nosem, ale wstrzymuje się od komentarza. Po prostu uchyla szyby z tyłu auta. W końcu jesteśmy w Miami, a tutaj dzieją się różne dziwne rzeczy. Słyszę, jak głośno dyszy i szuka czegoś w kieszeni. Po chwili wyciąga paczkę papierosów i też zaczyna palić. Odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo mi tego było trzeba – rzuca i wlepia wzrok w przednią szybę. – Dokąd jedziemy? – dodaje.

– South Beach, okolice moło – odpowiadam, parskając przy tym śmiechem.

Ruszamy z miejsca, więc zbliżam twarz do otwartego okna i pozwalam, żeby ciepły wiatr oblał moją skórę przyjemnym uczuciem pędu.

CHOMIKOWARNIA

Rozdział 10

Dojeżdżamy w końcu na miejsce. Płacę kierowcy za podróż, a on odwraca się do mnie po raz kolejny.

– Powodzenia. – Nie kryje przy tym uśmiechu.

– Przepraszam? – pytam lekko zirytowana jego życzeniem.

– Papieros, ten ubiór i pani wzrok, to wiele mówi – mówi, ale ja niewiele z tego rozumiem. – To powodzenia było do niego, a nie do pani – Wskazuje głową za szybę.

Odwracam się, a pod drzwiami samochodu stoi on. Patrzę, jak chwyta za klamkę, a moje serce zaczyna bić mocniej i szybciej. Już po chwili stoję na bruku zasypanym trawą, trzymana przez Marka za rękę. Spoglądam mu w te pieprzone oczy, a on na domiar złego całuje mnie delikatnie w policzek. Spogląda na zegarek i uśmiecha się.

– Jesteś prawie o czasie – mówi spokojnie.

Ma szczęście, że taksówkarz przyjechał zbyt szybko, tak pewnie spóźniłabym się jak na najlepsze imprezy. Podaje mi ramię, a ja je przyjmuję. Czy on musi być tak idealny? Coś na pewno musi być z nim nie tak. Dziwi mnie jedno, to ja go zaprosiłam, a teraz to on mnie prowadzi, przecież nawet nie wie, gdzie mam zamiar się udać i ja w sumie też nie do końca wiem.

– Za rogiem podają dobre steki i najlepsze wino – mówi, widząc moją konsternację.

Wiem, gdzie chce mnie zabrać i naprawdę uwielbiam to miejsce, ale nie może być tak, że to on za każdym razem decyduje. Ubrany jest jak przystało na mężczyznę z klasą, więc widać zrobił dobre rozeznanie w terenie, szare dopasowane spodnie w kratkę, espadryle i biała rozpięta do połowy koszula. Jego wyborem musi być „Wellington Beef and Wine”.

Nie ze mną te numery. To ja mam mieć kontrolę nad sytuacją, a nie on. Poczawszy od wyboru miejsca, przez napoje, aż do pościeli, wróć, aż do rozgryzienia jego tematu.

– Nie – mówię krótko, a jego twarz zalewa niepewność.

Uśmiecha się i jakby całkowicie świadomie pozwala mi przejąć kontrolę, co jeszcze bardziej mnie irytuje. Czeka, aż powiem swoją propozycję i jest gotowy na nią przystać. Widzę to po jego wyrazie twarzy.

– Pójdziemy do „Marty’ego” – mówię i przewracam przy tym oczami.

– Dobrze – odpowiada. – Akurat tam podają świetne carpaccio. – Czy jest jakieś miejsce na tym globie, którego on nie zna?

Nie mogę podważyć własnej decyzji, więc pozwalam mu dalej prowadzić. Wewnątrz cała drzę ze stresu i złości jednocześnie. Miałam mieć kontrolę, a widzę że tracę ją od momentu, kiedy opuściłam taksówkę. W dodatku, patrząc na niego, uświadamiam sobie, że nie ma najmniejszej szansy, że to ja go dzisiaj upiję do nieprzytomności.

Jest zbyt dobrze zbudowany i na pewno jego przemiana alkoholowa działa szybciej od mojej. Pięknym zwieńczeniem byłoby, gdyby jeszcze na koniec wieczoru przyszło mu trzymać moje włosy, ale nie, nie dopuszczę do tego.

Nieświadomie wypinam piersi do przodu i uśmiecham się sama do siebie. Dochodzimy pod przeszklone drzwi lokalu „Marty’ego”. Coś, co wyróżnia to miejsce, to właściciel witający wchodzących gości. Zapamiętuje wszystkich, którzy tutaj bywają i praktycznie z każdym próbuje podjąć jakąś rozmowę. Znamy się od dawna.

– Mark! – Macha nam od samego wejścia i raduje się na nasz widok. Najwidoczniej Marka zna jeszcze dłużej niż mnie.

– Marty – wita się z nim uprzejmie Mark. – Mój stół jest wolny? – pyta.

– Nawet jeśli nie jest, to zaraz będzie – żartuje właściciel i zaczyna nas prowadzić na tyły restauracji.

Na początku nie rozumiałam żartu, z którego się oboje zaśmiali. Idziemy w głąb lokalu, ale nie do drugiej sali. Wchodzimy na zaplecze i mijamy kuchnię. Czy oni właśnie prowadzą mnie na jakieś przesłuchanie?

Na końcu, przed celem naszej krótkiej podróży pokonujemy jeszcze schody, które prowadzą nas na dach. Na samym środku stoi stół nakryty białym obrusem. Rozświetlają go świece i wiszące nad nami girlandy.

Znalazł się czarodziej od siedmiu boleści. Hokus pokus, czary mary i już mamy stół w magicznym miejscu.

Nie wiem nawet, kiedy dochodzimy do stolika. Jestem oszołomiona tym, co widzę i co najgorsze, nie chcę w to wierzyć. Odsuwa krzesło, żebym mogła swobodnie usiąść, a później przysuwa je z powrotem pod moją pupę. Przechodzi mi za plecami.

Czuję, jak uderza mnie pieprzny zapach jego perfum, skądś je znam, tylko nie wiem skąd. Siada naprzeciwko. Jest totalnie wyluzowany, podczas gdy ja czuję się kompletnie spięta. Marty nadal stoi przy nas i czeka, ale Mark na niego nawet nie patrzy. Wbija we mnie spojrzenie, a to krępuje mnie coraz bardziej.

– Zaczniemy od butelki pinot – mówi, wciąż nie odrywając ode mnie wzroku. – Carpacio i deska serów do wina – kontynuuje. – A na główne danie zdaję się na Ciebie. – Nareszcie odwraca się w kierunku Marty’ego.

Tylko na chwilę, bo praktycznie od razu wraca spojrzeniem do mnie. Nie mówi nic, tylko szeroko się uśmiecha. Ach, te jego wielkie oczy. Czuję, jak ścisną mi gardło, aż nie mogę wziąć wdechu. Widzę po nim, że jest świadomy tego, jak bardzo kontroluje tą randkę, wróc, spotkanie.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś – mówi, podkreślając jeszcze bardziej fakt, że to ja zainicjowałam to spotkanie.

Z moich ust wydobywa się parsknięcie, co prawda niekontrolowane, ale adekwatne do tego, co myślę o jego słowach. Dodatkowo odwracam się na krzesło i zaczynam spoglądać w dal, w kierunku oceanu. Próbuję się wyciszyć i opanować. Nie mogę zachowywać się jak mała dziewczynka.

– Tak naprawdę wcale nie chciałam – odpowiadam, a on zaczyna się śmiać.

– Rozumiem – parska. – To dlatego wystroiłaś się tak, że wyglądasz jak milion dolarów? – pyta.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie – odpowiadam, marszcząc czoło. – Wygląd jest dla mnie odzwierciedleniem mojego stanu emocjonalnego, a zatem musi być idealny pod każdym względem – dodaję i czekam na jego kolejne zagranie.

Marty wraca z kubelkiem lodu, z którego delikatnie wynurza się szyjka butelki pinot. Stawia ją przed nami i zaczyna otwierać. Spojrzenia moje i Marka spotykają się. Biorę głęboki wdech, zamykam na chwilę oczy, tylko po to, żeby je otworzyć i rzucić Markowi moje najbardziej uwodzicielskie spojrzenie.

Czuję, że on też zaczyna tracić grunt pod nogami. Zaczyna szukać ucieczki z tej małej wojny na spojrzenia. Praktycznie wyrywa Marty’emu butelkę z ręki i sam kończy jej rozpieczętowanie. Wreszcie słycać dźwięk wyciąganego korka. Mark zbliża się do mnie, a moją skórę oblewa gęsia skórka.

Łapie za lampkę i nalewa do niej trochę wina. Nie stawia jej jednak przede mną. Kręci nią, mieszając wlny do środka trunek. Następnie przykłada ją do nosa i dopiero wypija. Robię wściekłą minę w jego kierunku, co za gbur. Odstawia ją obok swojego talerza i chwyta kolejną

lampkę, tym razem nalewa ją po sam czubek i stawia przede mną.

– Tyle powinno wystarczyć – rzuca, widząc moje oburzenie na twarzy.

– W twojej obecności to zdecydowanie zbyt mało – mówię, łapiąc za nóżkę lampki i podnoszę ją do ust.

Wychylam ją prawie na raz i przypominam sobie, że to ja miałam upić jego, a nie na odwrót. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Marty nadal stoi obok i nas obserwuje. W jednej chwili spoglądamy na niego.

– Może ja sobie już pójdę – mówi.

– Nawet nie próbuj! – mówimy jednocześnie, jakby miał nas powstrzymać przed rękoczynami.

– Marty, mój przyjacielu, mógłbym cię prosić o butelkę whisky? – Mark dodaje w zupełnie innym tonie.

– Najpierw każesz człowiekowi zostać, a teraz każesz mu iść? – Chichoczę pod nosem, kręcąc przy tym głową.

– Masz w tym doświadczenie, co? – odpowiada i rzuca mi mrożące spojrzenie.

Wreszcie udało mi się go wyprowadzić z równowagi. Wyszło to całkowicie spontanicznie i niestety, sama przy tym też nie mogę się opanować. Widzę, jak Marty stoi bezradnie i nie wie, co zrobić. Wprowadzamy niezły zamęt u niego w restauracji, a potraktował nas jak swoich przyjaciół.

Łapię za rękę właściciela i spoglądam na niego z uśmiechem. Nie jest niczemu winien. Po prostu napięcie między nami wystrzeżiło w kosmos i zrobiło się przy tym niezłe zamieszanie.

– Poprosimy tę butelkę – mówię spokojnie.

Niech ta flaszka będzie naszym rozjemcą. Skoro podgrzaliśmy już atmosferę poza jakąkolwiek skalę gorąca,

to znaczy, że czas trochę zwolnić. Kiedy zauważam u Marka zadowolenie, upewniam się, że wpadł na to tak samo jak ja. Nie wydaje mi się, żeby był tym, za kogo miałam go na początku.

To jednak nie zmienia kompletnie nic w naszej relacji. Nie mogę mieć nikogo na stałe.

Problem w tym, że jego nie chcę tylko na chwilę.

Rozdział 11

Mark odchodzi na chwilę od stolika i staje przy barierkach. Nawet stąd słyszę, jak głośno dyszy, ale spokojnie siedzę przy stoliku i pijam wybrane przez niego wino. W końcu wraca do mnie. Rzuca mi to samo spojrzenie, które widziałam przy naszym pierwszym spotkaniu, to po którym cała się rozplątam. Tak też jest tym razem, choć siedzę na krześle, to czuję, jak miękną mi nogi.

– Przepraszam – mówi niechętnie. – Zacznijmy od początku – dodaje.

Czuję swoją przewagę nad nim. To on jako pierwszy wyciąga rękę, więc czemu by z tego nie skorzystać. Uruchamia się we mnie jakiś demon, który celowo chce podkreślić to spotkanie.

– No nie wiem, nie wiem – mówię, trzymając kieliszek z uniesionym małym palcem.

– Dobra, powiem wprost – rzuca, prychając przy tym pod nosem, jakby nie chciał czegoś powiedzieć. – Cholernie mi się podobaś i dlatego tak reaguję. – O! Czyli nie jestem jedyna.

– Ja też przepraszam.

Schodzę z tonu i próbuję zacząć od nowa tak, jak zaproponował. Nie wiem tylko, czy z jego strony to nie jest gra. Dał się ponieść emocjom i boi się, że tym samym zepsuł sprawę. Te przeprosiny mogą być jedynie próbą ratunku dochodzenia.

Marty przynosi nam w końcu kolejną zamówioną butelkę. Kątem oka zauważam, że zachowawczo wchodzi po schodach. Pewnie boi się, że trafi znowu w środek wichury. Kładzie kolejny kubek na stole i odchodzi bez słowa. Chyba woli nie kusić losu.

– Nie jesteś stąd, prawda? – pytam.

– Właściwie to jestem – odpiera, uśmiechając się szeroko do mnie.

Widzę, że zaczyna się rozluźniać. Zdaję sobie sprawę, że weszłam na wygodny dla niego temat. Nie chcę znowu zepsuć atmosfery, więc postanawiam kontynuować. Trochę jak na przesłuchaniu, ale właściwie, która pierwsza randka nie jest przesłuchaniem.

– Właściwie? – Dziwię się na jego słowa.

– Pochodzę z Miami, ale większość życia mieszkałem gdzie indziej, a niedawno wróciłem w rodzinne strony. – Opiera się o stół łokciami i zbliża niebezpiecznie blisko do mojej twarzy. – Powiedz mi lepiej coś o sobie. – Uff, dobrze że nie zrobiłam dziubka. – Pracujesz w nieruchomościach...

Chyba czeka na to, żebym podjęła temat. Daje mi swobodę wypowiedzi, nie zadając konkretnego pytania, ale ja mam całkowitą pustkę w głowie. Muszę jakoś tego uniknąć.

– Może nie mówmy o pracy – mówię pierwsze, co mi przychodzi do głowy.

– Masz rację, te tematy zostawimy na czas po ślubie – żartuje i oboje wybuchamy śmiechem.

– Mark... – zawieszam się na jego nazwisku.

– Goldberg – kończy za mnie. – Mark Goldberg, pani Perez – powtarza, dodając moje nazwisko.

Nie mam pojęcia, skąd on je zna. Chyba właśnie popełnił błąd i nieświadomie potwierdza moje wcześniejsze przypuszczenia. Czuję, jak marszczę czoło, ale nie mogę tego opanować.

– Kobieta spóźniona na samolot – kontynuuje, śmiejąc się przy tym. – Powiem ci coś, ale nikomu o tym nie mów, bo zepsujesz moją reputację – wciąż żartuje. – Jak tylko cię zobaczyłem na lotnisku, to wiedziałem, że w jakiś sposób jesteś mi pisana – mówiąc to, chwytam mnie za dłoń. – Wiem, że tego się nie powinno mówić na pierwszej randce, to trochę tak jakbym grał w pokera z kartami wyłożonymi na stole, ale tak czuję...

Nie tylko ty.
– To bardzo miłe...
– Ale? – wtrąca się.
– A kto powiedział, że jest jakieś ale? – Uśmiecham się.
– Zwykle po takich słowach właśnie jest.
– Ale ja jestem niezwykła i zostanmy przy tym, że to co powiedziałaś, jest bardzo miłe. – Naprawdę takie jest, dawno nie słyszałam czegoś takiego.
Od dawna żyję w przekonaniu, że mężczyźni to ludzie niepotrafiący wyrazić siebie w żaden inny sposób niż krzykiem i przemocą, a tutaj nagle on...
Przystojny, rozgadany, żartobliwy i do tego doskonale wie, czego chce. Mark, Mark, Mark, dlaczego nie spotkaliśmy się w innym życiu albo wcieleniu?
– To co taka kobieta jak ty robi sama w mieście rozpusty? – pyta i tym samym popełnia błąd.
– Jest niezależna – Tym razem to ja opieram łokcie i zbliżam się do niego. – A przystojniak taki jak ty? – kontratakuje jego własną bronią i tym samym przejmuję temat.
– Potrzebowałam zmian... – odpowiada bardzo ogólnikowo, a to znaczy, że chce coś przede mną ukryć.
Tylko ja nie mam zamiaru dać za wygraną, więc nie odpuszczę, dopóki nie usłyszę od niego szczegółów.
– Każdy ich czasem potrzebuje. – Uśmiecham się najbardziej diabelsko, jak mogę. Odchyłam się do tyłu i zakładam nogę na nogę. – Zostawiłeś za sobą całe życie i wróciłeś w rodzinne strony. – Zamyślam się. – Żona? – Mark odpowiada śmiechem. – Praca, nie praca, to byłoby za łatwe, a ty nie jesteś łatwy – kontynuuję, a on wzdryga się na dźwięk ostatniego słowa, oznacza to tylko tyle, że jak każdy facet w niektórych aspektach, jest prosty jak raz dwa trzy.
Spuszcza wzrok.
– Atak na funkcjonariusza na służbie.
Tego bym się nie spodziewała.
– No, no Mark – mówię i patrzę na niego z jeszcze większym zaciekawieniem.
– Nie ma w tym żadnego powodu do dumy – odpowiada, wciąż wbijając wzrok we własne stopy. – Powiedzmy, że musiałem. Policja często przekracza swoje kompetencje i uprawnienia, a ja w nagrodę... – Podnosi głowę i spogląda mi prosto w oczy, na jego twarzy maluje się uśmiech. – Poznałem ciebie – kończy wcześniejszą myśl.
– Czyli furiat – drażę, nie zważając na jego komplement.
– Bronilem kobiety w trakcie przemocy domowej – mówi, choć widać, że wcale tego nie chce. – Mąż kobiety pracował w dochodzeniówce w nowojorskiej policji...
– Poczekaj, to jak ty się tam znalazłeś, jesteś prawnikiem rozumiesz, ale co prawnik robi u żony policjanta? – wpytyuję nadal. – Czyżbyś był kochankiem?
– Znalazłem się tam przypadkiem. – Zaczyna drapać się po głowie. – Właściwie analogicznie do tego, jak my się poznaliśmy. – Robi poważną minę. – Wracając do tematu, jego zwolnili, a ja nie mogłem liczyć już na pomoc jego kolegów w sprawach prowadzonych przeze mnie...
– Prawnik tak ściśle współpracuje z policjantami? – pytam zaciekawiona.
– Dobry prawnik tak, mierny omija ich szerokim łukiem. – Wzdycha. – Wiesz, jak to jest, w niektórych sprawach mogłyby zacząć ginąć dowody, w innych nagle pojawiać się w dziwnych okolicznościach. Wolałem tego uniknąć, a poza tym... – urywa, powstrzymując się przed dokończeniem zdania.
– A poza tym co? – pytam, nasłuchując uważnie.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – mówi. – Mam szansę na nowy start – dodaje.

To zdanie wprowadza tylko jeszcze większą tajemnicę. Może się za nim kryć praktycznie wszystko i nic. Odbieram to jako ucieczkę od rozwinięcia swojej wypowiedzi. Tak jakby kryło się tam coś jeszcze, czego nie może albo nie chce powiedzieć.

– Powiedz mi coś o sobie – przejmuje inicjatywę.

– Pracuję w nieruchomościach, ale to już wiesz... – przerywam, dając sobie czas na zastanowienie. – W przeciwieństwie do ciebie nie jestem miejscowa, ale to już pewnie udało ci się zauważyć...

– Nie każ się ciągnąć za język – mówi, a ja mimowolnie spoglądam na jego krocze i czuję, że rumienię się przy tym strasznie. Mam nadzieję, że nie zauważył żadnej z tych rzeczy.

– Hmm.

Przykładałam palce do brody, przecież opowiedzenie o sobie nie może być takie trudne. Pewnie gdybym miała okazję poćwiczyć, poszłoby mi znakomicie, ale tak naprawdę nie miałam na kim. Moje relacje z mężczyznami zwykle nie opierały się na rozmowie, chyba że w kwestiach biznesowych, ale o tych też nie mam zamiaru opowiadać Markowi.

– Dobra, zaczniemy ode mnie – rzuca niespodziewanie, czym ratuje mnie z opresji. – Wychowałem się w Miami. Mam dwoje rodzeństwa, starszego brata i siostrę. Uwielbiam dobre jedzenie i średni alkohol, dlatego wybór wina zostawiłem przypadkowi, a pinot wcale dobrze nie smakuje...

– Chyba sobie żartujesz – parskam. – Ten pinot jest obłądny.

– Za to musisz podziękować Marty'emu, on zawsze ratuje mnie z opresji.

– Zawsze? Czyli nie jestem jedyną kobietą, którą tutaj przyprowadziłeś? – zauważam, na co przewraca oczami. – Mogłam się tego spodziewać.

– Nie, po prostu Marty zna mnie jak własną kieszeń, a pytanie o stolik jest naszym kodem z dawnych lat i oznacza specjalną okazję – tłumaczy.

– Jestem dla ciebie okazją? – droczę się z nim.

– Nazwałbym cię szansą – odpiera, idealnie kontrolując moje pytanie. – Pytanie, kim ja jestem dla ciebie?

Na pewno kłopotem.

– To musimy jeszcze ustalić – zaczynam trzepotać rzęsami. – Wiem, że mieliśmy nie rozmawiać o pracy, ale muszę o to zapytać... – spuszczam wzrok i robię smutną minę.

– Tak? – pyta przejęty.

– Skoro jesteś prawnikiem – mówię powoli, budując napięcie. – To znaczy, że jesteś cholernym nudziarzem? – pytam, a on o mało nie spada z krzesła.

Wstaje i podchodzi do mnie. Wystawia w moim kierunku dłoń. Spoglądam na nią, nie wiedząc czego oczekuje.

– Chodź – mówi stanowczo.

– Ale jedzenie... – urywam, bo zaczyna mnie ciągnąć za sobą.

Zbiegamy po schodach. Przebiegamy najpierw przez kuchnię, a później przez salę restauracyjną. Wszystkie oczy są wgapione w nas. Mijamy Marty'ego, na jego pocziwej twarzy pokazuje się szeroki uśmiech, jakby cieszył się z tego, co widzi. Sama się cieszę, jestem podekscytowana pierwszy raz od dawna.

– Dolicz to do mojego rachunku – Mark rzuca przez ramię.

Jego śmiech jest tak zaraźliwy, że nie mogę się opanować. Ciągnie mnie w kierunku plaży. Dodam, że bieg w szpilkach po betonie nie należy do najłatwiejszych, a co dopiero po piasku. W miejscu, w którym zaczyna się plaża, wreszcie się zatrzymujemy.

Wtem Mark zaczyna się rozbierać, a ja ściągam buty. Po chwili stoi w samych bokserkach. Patrz w oczy Marina, patrz w oczy, powtarzam sobie w myślach. Moja broda w tej chwili robi się strasznie ciężka.

– Co ty robisz? – pytam, zanim rzeczywiście spojrzę w dół.

– Rozbierz się – nakazuje, no proszę, proszę, a niby taki gentleman.

Jakoś specjalnie nie mam ochoty protestować. Przekładam przez głowę sukienkę i rzucam ją razem z torebką i butami na piasek. Mark łapie mnie za ręce i razem biegniemy w kierunku oceanu. Nie zatrzymuje się nawet na chwilę. Dopiero kiedy wbiegamy do oceanu, zwalnia i spogląda na mnie.

– Nie chciałem cię zgubić – tłumaczy się.

Nie puszcza mnie, idziemy razem w głąb wody, aż w końcu przestaję sięgać dna, wtedy bierze mnie na ręce i idzie jeszcze kilka kroków dalej, a ja mimowolnie się do niego przytulam. Czuję pod dłońmi jego napięte mięśnie. Woda nie jest najcieplejsza, ale mi jest aż gorąco od wewnątrz. Nie mogę spojrzeć mu w oczy, więc spoglądam na pełnię, której blask odbija się od wody.

– Nie jesteś aż tak nudny – mówię.

Mark odgarnia mi włosy wpadające do ust. Przeciera mi twarz delikatnie dłonią, aż w końcu zatrzymuje ją w powietrzu. Kurwa, spoglądam w jego oczy i dziwnym trafem nasze usta łączą się w jedno.

Czuję w brzuchu coś, czego nie czułam już dawno. Nie wiem, może to ekscytacja i za chwilę minie, ale póki co mam wrażenie, że wpadłam po uszy.

Rozdział 12

W tej wodzie przeżyłam coś, co zapamiętam na długo, poczułam coś i choć nie potrafię tego nazwać, jest pięknie.

Nie skończyło się na jednym pocałunku, później przyszedł kolejny i kolejny, i tak aż do momentu, gdy zrobiło mi się zimno. Dopiero wtedy wyszliśmy z wody.

Stojąc przy ubraniach uświadamiam sobie, że nie mam zamiaru zakładać sukienki na mokrą bieliznę i Mark chyba myśli podobnie. Tym razem to ja łapię go za rękę i ciągnę w głąb ciemnej i opustoszałej plaży. Zatrzymujemy się znowu przy brzegu. Zaczynam rozpinąć stanik. Widzę, jak na mnie patrzy, ale to nie czas na deser.

– Odwróć się i nawet nie próbuj podglądać – mówię, choć i tak wiem, że będzie zerkał.

Wykonuje moją prośbę, a ja szybko rozpinam koronkowy stanik. Rzucam go na ziemię i pośpiesznie ściągam stringi tworzące z nim komplet. Chyba podświadomie sama przygotowałam się na zakończenie w łóżku. W końcu, która kobieta na co dzień nosi komplet bielizny.

– Już? – pyta i zaczyna się powoli odwracać.

– Nie! – krzyczę piskliwym głosem.

– Tylko żartuję – śmieje się.

Przekładam sukienkę przez głowę i opuszczam ją na biodra.

– Już – mówię spokojnie.

– Teraz twoja kolej – mówi, żądając, abym skierowała wzrok na ocean.

Robię to, ale i tak co chwilę zerkam przez ramię. Żałuję tego równie szybko, jak podjęłam decyzję o podglądaniu. Po tym, co widzę, ciężiej będzie mi go zostawić pod moimi drzwiami. Bądź silna Marina, powtarzam sobie w głowie. Kiedy słyszę dźwięk zapinanej klamry paska, postanawiam się odwrócić.

Mark patrzy na mnie, a wyraz jego twarzy jest taki spokojny i pogodny. Jest dobrym mężczyzną, wręcz idealnym. Takie jest moje pierwsze wrażenie na jego temat. Wątpię, żeby obecnie prowadził wobec mnie jakiegokolwiek dochodzenie. To wszystko, co się między nami wydarzyło, musi być cholernym zbiegiem okoliczności. Zresztą takich sytuacji w życiu Marka chyba nie brakuje. Mam na myśli przypadki, a według niego szansę, jak mnie nazwał. Może tak, może i on mógłby być moją szansą na coś pięknego, coś, czego pragnie każdy człowiek.

W głębi niestety wiem, że miłość nie jest mi pisana. Rzeczywistość przypomina o sobie. Muszę wracać do domu i nie wiem nawet, jak mam mu to powiedzieć, dlatego, że zwyczajnie po ludzku nie chcę jeszcze kończyć tej randki. Spoglądam na niego.

– Coś się stało? – pyta, widząc moje smutne spojrzenie.

– Muszę już iść – odpowiadam. – Praca – dodaję po chwili kolejne kłamstwo.

– Odprowadzę cię. – Znowu odzywa się jego natura rycerza na białym koniu.

Nie mogę mu na to jednak pozwolić. Im bardziej się do niego zbliżę, tym większe niebezpieczeństwo go czeka. Zastanawiam się, jak z tego wybrnąć.

– Na postój taksówek – mówi, kolejny raz ratując mnie z opresji.

Uśmiecham się i łapię go za rękę. Myślałam, że ten gatunek już wymarł, a tu proszę. Facet nie musi na mnie naciskać. Pewnie myśli, że nie chcę skończyć z nim w łóżku po pierwszej randce, a ja po prostu wiem, że nie mogę tego dłużej ciągnąć. Gdyby chodziło tylko o seks, byłoby mi o wiele łatwiej.

Im bliżej taksówek jesteśmy, tym mocniej moja dłoń zaciska się wokół jego ręki. Chyba po prostu nie chcę go puścić ani tym bardziej, żeby wieczór skończył się w ten sposób, pozba-

wiony jakiegokolwiek przyjemności. Tak nie może być, ale niestety musi.

Stajemy przed pierwszą napotkaną taksówką. Mark wyrывa się z mojego uścisku i podchodzi spokojnie do samochodu od strony kierowcy. Puka w szybę.

– Wolny? – pyta mężczyzny. – Niech pan zawiezie tę piękną damę, gdziekolwiek będzie chciała – mówi i podaje mu banknot.

Wraca do mnie. Chwyta pewnie za talię i przyciąga do siebie. Raz jeszcze zostawia mi namiętny pocałunek na ustach, po którym zaśniecie będzie nie lada wyczynem. Nie mogę się od niego oderwać, nie chcę. W końcu jednak to robię. Biorę głęboki wdech i próbuję się uspokoić. Wewnątrz cała dygoczę. Mark patrzy na mnie z lekkim uśmieszkiem na ustach.

– Dumny jesteś z siebie? – pytam, uśmiechając się szeroko.

– Ja? – Rozgląda się, jakby kogoś szukał. – Skądże – ironizuje.

– Ja mam po czymś takim spać sama? – dodaję nieświadoma własnych słów.

– To twój wybór. – Patrzy na mnie z cholerną satysfakcją.

– Praca – mówię. – Ale następnym razem już ci nie odpuszczę – dodaję, choć wiem, że nie może się to nigdy powtórzyć.

– Zobaczmy – odpowiada olewająco.

– Co ty powiedziałaś?! – syczę na niego głośno.

– Do zobaczenia piękna istoto – odpowiada i zaczyna oddalać się od auta.

Wsiadam do samochodu i widzę wzrok kierowcy w lusterku. To ten sam, który mnie tutaj wcześniej przywiózł. Uśmiecham się do niego. Mój stan jest zupełnie odmienny od tego, który widział za pierwszym razem.

– Czyli podołał – mówi jakby z dumą w głosie.

– Aż tak to widać? – pytam, chichocząc.

Odpowiadam na moje pytanie śmiechem, a później uchyla resztę okien i sięga po papierosa. Robię to samo. Palimy fajkę zwycięstwa, tylko właściwie nad czym? Dla mnie to spotkanie jest jednocześnie sukcesem i porażką. Pomimo tego, że Mark zachowa życie, to ja nie zachowam jego. Nie podoba mi się ten stan rzeczy, ale wiem, że nie mogę tego zmienić.

Przejeżdżając przez miasto, czuję się, jakbym jednocześnie żyła pełnią życia, ale też była martwa. Czegoś mi ewidentnie brakuje i mam wrażenie, że Mark byłby w stanie mi to zapewnić. Nie wiem już, co robić.

Nie zauważam nawet, jak wjeżdżamy na ulicę, przy której mieszkam. Kierowca zatrzymuje się pod moim domem. Spogląda na mnie i się uśmiecha.

– Jakby potrzebowała pani podwózki, to jestem do usług – mówi, podając mi wizytówkę.

Chyba mnie polubił, a to rzadkość. Nie mam wielu przyjaciół. Właściwie to nie mam żadnego przyjaciela, poza Samu. Właśnie Samu! Nie dzwonił, a to znaczy, że udało mu się wszystko zorganizować wedle tego, co ustaliliśmy. Mogę czuć się bezpieczna.

Biorę wizytówkę i wysiadam z samochodu. Nie wiem, co czuję, z jednej strony jestem cała w skowronkach, a z drugiej wewnątrz rozpadam się na kawałki. Chyba lepiej by było, gdybym się z nim w ogóle nie umawiała. Teraz tylko mam ochotę na kolejne spotkanie.

Słyszę dźwięk dzwonka telefonu w torebce. Zaczynam go szukać pomiędzy szpargałami i mokrą bielizną. Mam cię! W końcu wyciągam go i spoglądam na ekran.

[Mark]

Jesteś bezpieczna?

[Ja]

Dotarłam właśnie do domu, proszę pana.

Właściwie to zbyt grzeczne jak na mnie i bez podwójnego dna.

[Ja]

Sama...

Widzę, jak w czacie pojawiają się trzy kropki, a za chwilę znikają. Pewnie siedzi nad tym telefonem i cieszy się. Ciekawi mnie, co odpisze...

[Mark]

W przeciwieństwie do mnie...

Dodaje do tego ten emotikon diabelskiego uśmiechu. Co za skurwiel! Czuję, jak ogarnia mnie złość. Zaczynam chodzić w kółko po podjeździe. Wyjmuję w końcu papierosa i odpalam go. Zabawił się mną palant jeden, nie podaruję mu tego! Przychodzi kolejna wiadomość.

Patrzę na ekran, a tam on w towarzystwie psa i napis „niepokojnych snów”. Może to dziwne, ale czuję cholerną ulgę, widząc tą wiadomość.

Chyba doskonale wie, o czym mówi, pewnie czuje się tak samo jak ja. Dosłownie jakbym sama sobie zabrała wisienkę na torcie i wyrzuciła ją do śmieci. Przykre uczucie niespełnienia targa mną, odkąd go opuściłam. Dlaczego tym razem rozum wygrywa z sercem?

Podchodzę do drzwi i opieram się o nie. O mało nie wpadam do środka, a jestem pewna, że je zamknęłam. Nie dość, że jestem pijana, to ot taka pułapka czeka na mnie po powrocie. W ostatniej chwili łapię równowagę.

Przechodzi mnie mrozące uczucie. Całe moje ciało pokrywa gęsia skórka. Mam wrażenie, jakby ktoś mnie obserwował. Odwracam się...

Rozdział 13

Odzyskuję równowagę, ale wokół jest ciemno. Z daleka widzę postać stojącą w miejscu, w którym zaczyna się mój salon. Serce zaczyna mi bić coraz szybciej, a całe ciało się spina. Zauważam, że zbliża się do mnie, nie wiem, kim jest i czego ode mnie chce. Zapalam światło.

– Czego chcesz?! – krzyczę do pieprzonego Jesusa Navarro.

– Chyba już ustaliliśmy, dla ciebie pan – mówi i podchodzi coraz bliżej.

Nie mogę się ruszyć. Nie mam przy sobie broni, została w samochodzie. Jednak zmuszam się do ruchu i zrywam z miejsca. Instynktownie wbiegam do garażu. Otwieram samochód i sięgam do schowka. Słyszę jego kroki za sobą i mój głośny oddech. Gdzie jest ta pieprzona broń?

– Tego szukasz? – pyta, trzymając mój pistolet w rękach.

Podchodzi do mnie i wkłada mi go w dłonie. Zaciska je na rękojeści i przykłada sobie do klatki piersiowej. Uśmiecha się do mnie. Jego wzrok jest pełen szaleństwa, ale też pewności siebie.

– Strzelaj – mówi. – No strzelaj, kurwa! – powtarza, nie widząc reakcji z mojej strony. – Tak myślałem. – Śmieje się i ponownie zabiera mi broń.

Cała drzę. Nie wiem, czy przyszedł mnie zabić. Kartel nienawidzi, kiedy ktoś o nich wspomina, a ja to zrobiłam, choć nie powinnam.

– Miałaś się zająć naszymi sprawami, a ty się pieprzysz na mieście. – Przez chwilę wydaje mi się, jakby był zazdrosny. – Nie tak się umawialiśmy. – Chwyta mnie za gardło i podprowadza do ściany.

Przyciska mnie do niej. Czuję, jak tracę cenny, uspokajający oddech. Nie mogę zaczerpnąć powietrza. Robi mi się ciemno przed oczami, a wtedy on odpuszcza chwyt.

– Interesy rodziny są najważniejsze, nie twoja zabawa – mówi i całkowicie mnie opuszcza.

Zaczynam kaszleć i upadam na ziemię. Łapię głęboki wdech i zamykam na chwilę oczy. Otwieram je i wstaję, jako inna osoba, spokojna i wyrachowana. Słyszę jego oddalające się kroki.

– Pan Navarro jest jeden i na pewno nie ty nim jesteś – mówię do jego pleców.

Na te słowa mężczyzna wraca do mnie, jeszcze bardziej zirytowany.

– Co powiedziałaś? – pyta i zamachuje się na mnie ręką, ale w ostatniej chwili hamuje, zanim wyrządza mi krzywdę.

Podnoszę wzrok na jego oczy.

– Powiedziałam... – powtarzam – że nie ty jesteś panem Navarro.

Słyszę jego stłumiony śmiech. Jego agresja gdzieś odpływa, a on po prostu odchodzi w kierunku drzwi. To było tylko ostrzeżenie.

– Już wiem, co ojciec w tobie widzi – mówi, przechodząc przez próg.

Nie spodziewałam się, że jestem tematem przy ich rodzinnym stole. Zaciekawiona idę za nim. Wiem, że się uśmiecha, choć jest odwrócony do mnie plecami.

– Wszystko ma być jutro załatwione – mówi przez ramię.

– I co, tak sobie po prostu pójdiesz?! – krzyczę do niego, ale on nie reaguje i odchodzi. – Pierdol się, panie Navarro! – dodaję.

Nie wsiada do żadnego z samochodów stojących przy ulicy. Wydaje mi się, że przyszedł tutaj na piechotę, ale dlaczego i jak długo tu był. Nie wiem, jaki cel mają nasze spotkania.

Jest kontrastem do Marka, ale na swój sposób jego zachowanie za każdym razem coraz bardziej mnie nakręca. Jest zwierzęcy i taki męski. Robi wszystko inaczej, niż bym chciała, a za-

razem robi to idealnie. Dba o interesy i rodzinę, i to są dla niego ważne wartości. Być może jest w tym zbyt brutalny, ale czego się nie robi dla bliskich.

Wiem jedno, tacy ludzie jak on przekładają to zawsze na seks. Musi być w łóżku jak dzieki zwierzę, spełniające swoje najskrytsze i najbardziej mroczne fantazje. Pociąga mnie to strasznie. Cholera, czas spać.

Wracam do domu i od razu idę pod prysznic. Obmywam się z soli i ze złych myśli. Dochodzę do wniosku, że najzwyczajniej w świecie nienawidzę mężczyzn. Pieprzeni tylko zawracają mi w kółko głowę. Jeden chce mnie, drugi chce żebym wykonywała jego rozkazy.

Na szczęście już jestem czysta i mogę udać się na spoczynek, jeszcze nie wieczny. Kładę się w łóżku i oczywiście, jak to zwykle w takich chwilach bywa, nie mogę, cholera, zasnąć. Oczywiście mam jak dwa wielkie księżycy w pełni. Gapię się w sufit i nawet nie potrafię zebrać myśli w całość. W mojej głowie panuje istny chaos.

Przewracam się z boku na bok. Robię to do skutku, aż w końcu zmęczone się na tyle, żeby wreszcie zasnąć. To nic nie daje. Odwracam się po raz kolejny i o mało nie wyskakuję z pościeli.

– Mark?! – pytam przerażona, widząc go u swego boku. – Co ty tu, za przeproszeniem kurwa, robisz?!

– Mówiłaś, że jesteś sama i chyba ci to przeszkadzało...

– Nie na tyle, żebyś nagle lądował w moim łóżku.

Czuję dłoń na moim brzuchu. Gładzi mnie nią delikatnie po skórze, aż wzdrygam się pod wpływem dotyku.

Odginam głowę w tył i zamykam oczy. Nagle jednak zjeżdża drapieżnie w dół i wchodzi między moje uda. Czuję, że

coś mnie drapie w kark, jakby twarde włosy? Zarost, cholera, odwracam głowę...

– Navarro! – krzyczę.

Budzę się cała złana potem i zdyszana jak po długim, intensywnym biegu. Na szczęście to był tylko pieprzony sen, wróć, koszmar. Uspokajam się i siadam na skraju łóżka. Spoglądam na zegarek na szafce nocnej. Nie zasnęłam i to już jest duży sukces.

Nie wiem dlaczego, ale tam na dole jestem zupełnie mokra. Idę do toalety załatwić poranną potrzebę. Chwytam listek papieru i wycieram się do suchości, ale to nie pomaga. To nie powinno tak na mnie działać...

Opieram się o umywalkę i patrzę w lustro. Wyglądam jak siedem nieszczęść. Podkrążone oczy od braku snu, świecąca się i przetłuszczona skóra no i te rumieńce na twarzy od koszmarów. To, co widziałam, jest chore i nierealne, ale jednocześnie takie, no właśnie jakie...

Nie jestem w stanie określić, co się ze mną dzieje. W ciągu tej krótkiej chwili dwóch facetów pojawiło się w moim życiu i wywróciło je do góry nogami. Uderzam pięścią w porcelanowy zlew. Wiem, że muszę ogarnąć myśli. Dzisiaj nie będzie miejsca na fantazje.

Wychodzę w końcu z łazienki. Biorę telefon do ręki i sprawdzam wiadomości. Nie ma w nim tej jednej, na którą czekam, od najważniejszego faceta w moim życiu, Samu. Nie wygląda to dobrze. Czy coś mu się stało.?

Nagle słyszę głośne walenie do drzwi. Ruszam do nich bojowo nastawiona. To pewnie znowu ten gnojek, Navarro, a nie przepraszam, pan Navarro. Spoglądam przez wizjer i widzę Samu. Jest uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Jest! – krzyczę i otwieram drzwi.

Odruchowo rzucam mu się od razu na szyję. Kompletnie zapominając, że mam na sobie jedynie ręcznik.

– *Chica!* – krzyczy. – Pierwszy raz ktoś, aż tak cieszy się na mój widok.

Karcę go wzrokiem.

– Rozumiem, że wszystko dobrze? – pytam.
– Tak – odpowiada i uśmiecha się pod nosem. – Magazyn w Bay Heights – dodaje.
– A więc jednak... – Wypuszczam głośno powietrze.
– Wypada najlepiej na tle innych miejsc – zaczyna spokojnie. – Naprzeciwko jest hotel, parking obiektu ma dwa osobne wjazdy i pięć różnych opcji ucieczki – tłumaczy jednym tchem.
– Dobrze, a więc czas poinformować odbiorcę.

Zostawiam mój telefon na szafce i idę do gabinetu. Sięgam do szuflady biurka i wydaję z niej inny telefon i świeżą kartę sim. Zdejmuję klapkę i wydaję baterię. Wkładam kartę w jej miejsce. Składam komórkę do kupy i włączam ją.

[Ja]

25°44'18.2"N 80°14'35.4"W

Została nam godzina, żeby dotrzeć na miejsce. Nie możemy być później niż odbiorca. Dotarcie zbyt szybko też nie działa na naszą korzyść. Moi ludzie obserwują lethalsów w ich siedzibie, więc dostanę informację, jak tylko ruszą w drogę. Na szczęście mamy nad nimi kilka minut przewagi.

Rozdział 14

Czekamy oboje jak na skazanie. Nie wiem, czego spodziewać się po tej bandzie. Nie powinienam była powoływać się na rodzinę Navarro. Lethalsi są nieobliczalni i wymiana może nie pójść tak, jak planowałam. Mam tylko nadzieję, że nie są na tyle głupi, żeby otworzyć do nas ogień w środku miasta.

Słyszę dźwięk dzwonka telefonu. Z kim ja pracuję? Uderzam się w czoło i spoglądam na ekran, ale nie ma na nim żadnego powiadomienia. To nie jednorazówka, to na mój telefon przyszła wiadomość. Wracam pod drzwi wejściowe. Podnoszę telefon z szafki i odblokowuję go.

[Nieznany numer]

Tik tok...

No tak, pieprzony Jesus Navarro nie daje o sobie zapomnieć. Pojawianie się w najmniej odpowiedniej chwili to jego znak rozpoznawczy. Zastanawia mnie, dlaczego tak bardzo angażuje się w interes na tak niskim szczeblu.

Wiem, że Miami jest dla nich istotnym rynkiem zbytu, ale bez przesady. Syn szefa kartelu przylatuje, żeby nadzorować jedną z wielu transakcji. Coś mi tutaj nie pasuje. Za jego przybyciem musi kryć się coś o wiele większego.

Nie wiem tylko, w jaki sposób to wszystko wiąże się ze mną.

– Czas na nas – mówi Samu.

Wrywa mnie z tej krótkiej zadumy. Podnoszę wzrok w jego kierunku. Jestem świadoma czasowego ograniczenia, więc ruszam pędem do garderoby. Wiem, że muszę być gotowa na każdą ewentualność, więc dziś nie będę elegancka. Zakładam na siebie bojówki w moro i krótki czarny top. Nie jest to odpowiedni dzień dla obcasów, więc wybieram wojskowe buty. Jestem gotowa na wojnę.

Wychodzimy z mojego domu. Samu i ja od lat mamy pewien rytuał, jeśli jedziemy razem na akcję. Palimy papierosa na pół po kilka zaciągnięć każdy, jak w czasach szkoły. Nie służy to niczemu, ale dzięki temu jesteśmy w stanie wyluzować choć trochę.

Samu odpala przygotowanego wcześniej papierosa i podaje mi go. Wsiadamy do jego jeepa. Uwielbiam ten samochód, szczególnie w wersji ze ściągniętym dachem. Nie przeszkadzają mi nawet włosy wpadające do ust, bo czuję wolność.

Dojeżdżamy w końcu na miejsce, pod wielki budynek, w którym znajdują się magazyny. Dużą część jego powierzchni zajmuje wielopoziomowy parking. Wjeżdżamy po spirali w górę, na przedostatnie piętro. Nie chcemy, aby przypadkowo służby prewencyjne zobaczyły nas na kamerze drona.

Wszyscy pracujący dla mnie ludzie są już na miejscu. Stoją przy betonowych barierkach. Z dala od samochodu, w którym znajduje się towar, który odzyskali z benzyny. W samolocie na trasie Bogota–Floryda znajduje się około piętnastu ton paliwa, biorąc pod uwagę dystans z Kolumbii. No i oczywiście, jeżeli wszystkie zbiorniki są w użytku. To daje nam około dwóch tony roztworu.

Dzięki temu jesteśmy w stanie niezauważenie przewozić do ojczyzny wujka Sama nawet pięćset kilogramów czystego koksu wartego około dziesięciu milionów dolarów. Zadaniem Samu było odzyskanie kokainy z roztworu prosto po moim przylocie. Zwykle ma na to niewiele czasu, ale za każdym razem udaje mu się to zorganizować.

Lethalsi są tylko jednymi z naszych stałych odbiorców. Pech chciał, że to akurat oni. Z każdym innym gangiem byłoby łatwiej się dogadać.

Podchodzę do moich ludzi i staję między nimi. Jesteśmy jak duża dysfunkcyjna rodzina, która jest w stanie oddać za siebie życie. Różnimy się od kartelu tym, że dla nas nikogo nie da się zastąpić.

Spoglądam na białego busa stojącego naprzeciwko nas. Wiem, że to w nim znajdują się narkotyki. Nie chcemy być blisko pojazdu, w razie gdyby lethalsi wystawili nas policji. Auto jest wyczyszczone z odcisków palców i nic nas z nim nie łączy.

Czuję, jak beton pod moimi stopami zaczyna drgać. Zapewne zbliża się do nas kilka samochodów. Po chwili już na piętrze pod nami słyszę nadjeżdżające auta. Biorę głęboki wdech i zamykam na chwilę oczy. Otwieram je i widzę, jak gang parkuje kilkanaście metrów od nas.

Wysiadają. Jest ich około dwudziestu. To tylko najwyżej postawieni ludzie w strukturze. Na każdej wymianie obecny jest szef. Wychodzi przed szereg. Nie kryje się za osłoną ze swoich ludzi. Robię dokładnie tak samo. Zaczynamy się do siebie zbliżać.

– Gabriel – podchodzę do niego i zwyczajowo całuję go trzy razy w policzek.

– Marina – odpowiada, uśmiechając się sztucznie. – Gdzie towar? – pyta.

– Dostaniesz go, jak tylko przekażesz nam pieniądze.

Podnosi rękę i zgina wskazujący oraz środkowy palec w moim kierunku, jakby chciał przywołać do siebie ludzi. Mam chwilę na to, żeby ocenić sytuację. Wszyscy mają broń, ale to nic dziwnego, my też ją mamy. Pomimo tego, mam złe przeczucia.

Jego ludzie idą najpierw do samochodów. Słyszę otwierające się klapy bagażników. Z trzech aut wydają się po dużej sportowej torbie. Otwierają je, z daleka pokazując pieniądze. Wszystko wydaje się w porządku. Nie jestem jak Gabriel, sama idę do busa i otwieram tylne drzwi.

Odwracam się do niego. Widzę, jak na tej parszywej gębie maluje się delikatny uśmiech, tym razem szczery.

Coś jednak jest nie tak. Zauważam jego dłoń wędrującą w dół w kierunku kabury zawieszanej na pasku. Jest szybszy ode mnie. Chcę zrobić unik, ale nikt nie jest szybszy od kuli. Na parkingu rozlega się głośny huk wystrzału.

– Cześć, skurwysyny! – Słyszę z daleka krzyk.

Gabriel pada jak długi na ziemię. Widzę dziurę po kuli na boku głowy. Pod jego ciałem pojawia się ogromna plama krwi. Przenoszę wzrok w kierunku, z którego dobiegł do mnie znajomy głos.

Mogłam się tego spodziewać, Jesus Navarro. Idzie, trzymając w rękach dwa pistolety wycelowane w lethalsów. Wszyscy ludzie Gabriela zaczynają do niego mierzyć, a moi celują do lethalsów.

– Nie zdążyłem się wszystkim przedstawić – kontynuuje monolog. – Dla tych, którzy nie wiedzą, Jesus Navarro – dodaje.

Wszyscy najwidoczniej są w szoku. Gang stracił właśnie przywódcę. Ja nie wiem, co ma na celu ta akcja, ale jedno jest pewne, może się skończyć krwawo. Jeden strzał w Bay Heights to za mało, żeby zaalarmować policję.

– Macie okazję zabrać to truchło leżące na ziemi – Wskazuje na Gabriela. – Odejść stąd, a kartel zapomni o sprawie – dodaje.

Nie wiem, o jaką sprawę mu chodzi, ale widzę, jak kolejni ludzie opuszczają wycelowane bronie. O co tu, kurwa, chodzi? Jesus podchodzi do nich bliżej. Nie boi się ich, choć na pewno jest świadomy, jak bardzo są nieprzewidywalni. Staje pomiędzy nimi.

– Pieniądze zostają z nami – dodaje, zabierając po kolei torby i rzuca je w moim kierunku.

Wydają się dziwnie lekkie. W tej części świata wszyscy boją się kartelu z Cali, więc nie jest dla mnie dziwne ich zachowanie. Nikt nie chce wojny z nimi. Zabierają Gabriela z ziemi, pakują się w samochody i pospiesznie odjeżdżają z parkingu. Jesus odwraca się w kierunku oddalających się pojazdów i oddaje jeszcze kilka strzałów.

Teraz wiem, że policja na pewno za chwilę się tutaj zjawi. Idę do niego wściekła. On zaczyna spokojnie iść w moją stronę. Stajemy w końcu przed sobą. Rzucam mu mordercze spojrzenie. Nasze oczy się spotykają. Dostrzegam w nim chłód, ale inny niż wcześniej. Jeszcze bardziej przerażający, jakby był zdolny zrobić wszystko, byleby osiągnąć swój cel. Jaki? Nie mam pojęcia.

– Miałam załatwić sprawy waszej rodziny?! – krzyczę do niego.

Nie odpowiada, po prostu ciągnie mnie za rękę w kierunku pieniędzy, które zostawili mu ludzie Gabriela. Wykonujemy ledwie kilka kroków. Wskazuje palcem na torby.

– Wiesz, czemu tak chętnie je zostawili?!

– Puszczaj, to boli! – Próbuję się wyrwać, ale jestem zbyt słaba.

Czuję, że luzuje uścisk i pozwala mi się oswobodzić. Przez chwilę na jego twarzy widzę coś dziwnego, spokój i troskę. Wyciąga pieniądze i rzuca nimi nad głowę. Kiedy opadają na ziemi zaczynam rozumieć. Jesus uratował mi życie. W torbach nie było pieniędzy, na pewno nie tyle, ile powinno być. Jedynie górną warstwą były dolary, reszta to ścinki papieru.

Odwracam się w kierunku Samu i reszty. Nie jestem niczego pewna, stojąc naprzeciwko Jesusa. Widzę, że mój przyjaciel jest spięty. Boję się, że może zrobić coś głupiego. Nie mamy zbyt wiele czasu przed przyjazdem policji. Nie wiem też, czego ode mnie oczekuje Navarro.

Ruszam w kierunku moich ludzi, tak będzie najbezpieczniej. Łapie mnie ponownie za rękę i ściska mocno.

– A ty gdzie się wybierasz? – pyta oschle.

Samu wykonuje krok w przód, ale zatrzymuję go ręką. Być może bylibyśmy w stanie pozbyc się jednego z synów Francisco, ale osiągnąłby nas później jego gniew po stracie dziecka. Mężczyzna zaczyna mnie za sobą ciągnąć w kierunku, z którego przyszedł.

Nie wiem, co mnie czeka. Zwyczajnie poddaję się mu. Chcę uratować chociaż moich ludzi. Dlaczego uważa mnie za winną takiego obrotu spraw, przecież nie miałam z tym nic wspólnego. To ja miałam być martwa, a teraz ponoszę tego konsekwencję.

Rozdział 15

Prowadzi mnie do swojego samochodu. W trakcie wsiadania biorę głęboki wdech i poddaję się. W końcu przychodzi czas na każdego, także na mnie. Mój koniec i tak długo odwlekalam. Nie mówi do mnie nic, czy tak to właśnie będzie wyglądało?

Wyjeżdżamy z budynku. Mijamy kolejne ulice. Wydaje mi się, że wiem w jakim kierunku zmierzamy...

Międzynarodowe lotnisko w Miami.

Nie zatrzymujemy się na parkingu. Mijamy najpierw jeden szlaban, a później kolejny. Nigdy nie byłam w tej części lotniska. Nie przechodzimy żadnej odprawy, a po kilku minutach jesteśmy na środku pasa startowego.

Jesus dojeżdża samochodem do jakiegoś samolotu, o wiele mniejszego od tych, do których jestem przyzwyczajona. Zatrzymujemy się, a on wysiada. Podchodzi do schodów prowadzących na pokład i spogląda na mnie. Wiem, co oznacza jego spojrzenie, mam też wyjść na powietrze.

Robię to mozolnie, na tyle, na ile mogę. Tak jakbym liczyła na to, że ktoś przyjedzie i mnie ocali. To może oznaczać tylko jedno, podróż do Cali. Zdaję sobie sprawę z tego, że bilety dla mnie są zakupione tylko w jedną stronę.

Jesus traci cierpliwość i zaczyna maszerować w moim kierunku. Chwyta mnie za ramię i zaczyna ponownie ciągnąć za sobą. Jest brutalny i nie ma zamiaru się hamować. Wciąga mnie w końcu na pokład samolotu. Popycha na jeden z białych skórzanych foteli przy oknie.

Nie ma tutaj miejsca na ucieczkę.

Nie ma nawet miejsca na sprzeciw.

Muszę się zwyczajnie poddać temu, co dla mnie przygotował albo...

Opracować plan obrony. Jediną opcją na pokonanie silniejszego od siebie jest element zaskoczenia. Siada naprzeciwko mnie. Wydaje mi się, jakby unikał kontaktu wzrokowego. Podchodzi do nas stewardessa.

– Przygotowujemy się do startu. – Uśmiecha się do nas. – Proszę państwa o zapięcie pasów.

Jesus rozpina guziki w marynarce i rozkłada się wygodnie na fotelu. Swoją wzrok kieruje w okno, kompletnie ignorując przy tym moją obecność. Czuję, jak zaczyna się we mnie gotować.

– Czego ty ode mnie chcesz? – rzucam do niego z pogardą.

Mężczyzna przenosi powoli wzrok na mnie. Ponownie czuję chłód, którym emanuje. Chcę patrzeć mu w oczy, ale nie mogę, uciekam i spoglądam w ziemię. Nie odpowiada. Ucisza mnie jednym pieprzonym gestem. Mam wrażenie, jakbym była przy nim taka mała...

Obsługa lotu zamyka samolot. Zaczynamy się powoli poruszać, samolot nabiera prędkości i w końcu wzbijamy się w powietrze. Żegnaj Miami, mówię do siebie w myślach. Przez okno widzę, jak miasto robi się coraz mniejsze. W myślach piszę sobie najgorsze scenariusze.

– Nie powinnaś powoływać się na nas – mówi nagle bez jakichkolwiek emocji.

– Co, proszę?

– Jeżeli masz problem, przychodzisz do nas – mówi i patrzy mi prosto w oczy. – Nazwisko Navarro nie jest dźwignią w negocjacjach – dodaje i odwraca ode mnie wzrok.

– Ty chyba w dzieciństwie upadłeś na głowę – parskam. – Francisco chyba musiał cię upuścić – dodaje.

Widzę, jak zaczynają drgać mu usta. Ogarnia go wściekłość. Chyba nie powinnam tego mówić. Wstaje do mnie, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje przed tym, co zapewne miał w myślach.

– Nigdy, przenigdy nie mów tak o moim ojcu – syczy przez zaciśnięte zęby. – Gdyby nie on, to ty byłabyś na miejscu Gabriela – dodaje.

Nie wiem, o czym mówi. Jak niby Francisco miał mieć z tym coś wspólnego. Wiem doskonale, że od długiego czasu nie opuszcza Cali.

– Mam ci być niby wdzięczna? – Wstaję do niego. – Za co niby? Przez ciebie o mało nie zginęłam. Ci ludzie...

– Jeśli nadal tego nie widzisz, to oznacza, że nie jesteś tak inteligentna, jak myśli mój ojciec – mówi i odwraca się, po czym wraca na swoje miejsce.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam! – Próbuję go przywołać do siebie.

Moje słowa nie działają. Jesus opiera głowę o szybę i zamyka oczy. Nie wiem, czy zasnął czy to tylko gra z jego strony. Nie mam, jak tego sprawdzić. Wygląda na to, że resztę lotu spędzimy w grobowej ciszy. Właściwie to lepiej, bo z jego każdym kolejnym słowem zaczynam się dziwić, jak chociaż przez chwilę mógł mi się wydać pociągającym.

Podczas snu wygląda zupełnie inaczej, tak spokojnie. Zupełnie jak dziecko nieskażone złem. Mięśnie na jego twarzy są rozluźnione, a on cały nie wygląda na takiego groźnego jak zwykle. Patrząc na niego, czuję jak negatywne emocje w końcu ze mnie uchodzą. Adrenalina opada, a ja też zaczynam robić się senna.

Czuję, jak ktoś chwyta mnie za bark i tym samym wybudza ze snu. Nieświadomie szarpie ręce w górę, po czym otwieram oczy. Widzę nad sobą zdziwioną moim zachowaniem stewardessę. Spoglądam za nią i nadal widzę Jesusa, a więc to nie był tylko zły sen, jak ubiegłej nocy. Kąciki jego ust delikatnie idą do góry, jakby chciał się zaśmiać, ale jednak się powstrzymywał.

– Proszę przygotować się do lądowania – mówi do mnie kobieta. – Za kilkanaście minut będziemy w Cali – dodaje.

– Cali? – rzucam do Jesusa.

– A czego się spodziewałaś? – parska. – Las Vegas? – dodaje, zapinając po kolei guziki marynarki.

Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócę do ukochanej Kolumbii. Czuję, jak zaczynamy się zniżać. Widzę pod nami miasto, ale wydaje mi się, że przelatujemy nad nim i podążamy gdzieś dalej w kierunku przedmieść.

Jesteśmy coraz niżej i niżej, aż w końcu dostrzegam coś w rodzaju lądowiska. Nie jest to pas startowy tak szeroki jak w Miami. To raczej małe prywatne lotnisko, pewnie należące do kartelu.

Jesteśmy już blisko ziemi, a po chwili już jedziemy po tym krótkim i wąskim pasie. Dojeżdżamy do dużego hangaru, pod którym czeka na nas samochód. Stewardessa otwiera drzwi samolotu. Nie chcę iść. Jesus nie czeka po prostu chwyta mnie i znowu ciągnie za sobą.

Próbuję okładać go po całym ciele, ale nie robi to na nim najmniejszego wrażenia. Dostrzegam, że przy aucie stoi kierowca. Otwiera tylne drzwi pojazdu, a Jesus podchodzi ze mną i niemalże wrzuca mnie przez nie jak szmacianą lalkę. Uderzam pięściami w szybę, ale to nic nie daje. Chwytam instynktownie za klamkę, niestety drzwi są zamknięte.

Najpierw dołącza do mnie kierowca, a dopiero po nim na siedzenie pasażera siada wielki dziedzic rodu Navarro, pieprzona gwiazda rocka po tej stronie globu. Jestem zdana tylko na siebie. Ruszamy spod hangaru.

– Pan Navarro czeka w ogrodzie – mówi kierowca.

Oznacza to jedno, jedziemy właśnie do rezydencji. Miejsca, w którym całe zło wyrzą-

dzane przez kartel ma swój początek i koniec. Jest to siedziba znana mi z opowieści. Nigdy nie było mi dane być tam. Chyba nie powinnam się cieszyć z tego wyróżnienia.

Drogę z lotniska pokonujemy w ciągu około pięciu minut. Ich dom jest zlokalizowany w idealnym położeniu. W razie potrzeby są w stanie znaleźć się szybko na lotnisku i skorzystać z tego rodzaju transportu. Prawdopodobnie w hangarze stoi też helikopter, który byłby lepszy na krótsze trasy.

Stajemy przed żelazną bramą, przy której stoją dwie budki strażnicze. Z jednej z nich wychodzi mężczyzna z długą bronią, ubrany w mundur. Nawet wojsko siedzi u nich w kieszeni. Spogląda na numery rejestracyjne i dopiero wychodzi przed bramę. Pokazuje dłonią, żeby kierowca opuścił szybę. Spogląda na niego i dopiero wtedy pozwala nam jechać.

Wydaje mi się, że to zbyt duże środki ostrożności, nawet jak na kartel. Coś tutaj jest wyraźnie nie tak, jak powinno być. Pewnie niedługo się to wyjaśni, ale póki co, jedziemy dalej przed siebie. Przez przednią szybę zauważam malujący się z daleka budynek. Jest ogromny, wygląda jak pałac, a sama droga ciągnie się przez co najmniej trzysta metrów od bramy.

Zatrzymujemy się na podjeździe. Czekam, aż tylko otworzy mi drzwi. Do bramy jest daleko, więc wojsko nie zdąży do mnie dobiec. Na pewno łatwiej się stąd wydostać niż tutaj trafić, powtarzam to sobie w myślach. Widzę, jak kierowca podchodzi, jestem gotowa. Biorę głęboki wdech i wtedy otwierają się drzwi.

Wychodzę, a właściwie wypadam przez nie i zaczynam biec. Biegnę po prostu przed siebie. Wiem, że w końcu dobiegnę do muru okalającego cały ten teren. Staram się włożyć w to całą swoją energię. W końcu od tego, czy ucieknę, prawdopodobnie zależy moje życie. Boję się, że jak się odwrócę, to zobaczę przed sobą twarz tego skurwiela.

Cała zasapana dobiegam do muru. Ma jakieś cztery metry wysokości. To miejsce to pieprzona twierdza. Próbuje się na niego wdrapać, ale to wszystko na nic. Czuję, jak ktoś chwytą mnie za rękę. Odwracam się i widzę go...

– Tutaj nie da się wejść nieproszonym, ale ucieczka też nie należy do łatwych – mówi spokojnie.

– Zostaw mnie! – krzyczę i zaczynam go okładać.

Obezwładnia mnie. Wrzuca mnie sobie na bark i zaczyna ze mną iść. Trzyma mnie przy tym mocno. Prawdopodobnie nie chciał ze mną dyskutować, więc zdecydował, że tak będzie mu łatwiej.

Nie idziemy w tym samym kierunku, z którego tutaj przybiegłam. Niesie mnie w stronę domu, ale jakby na oko. Mijamy budynek i znajdujemy się na ogromnym tarasie, na miarę tej rezydencji. Idzie jeszcze dalej, aż w końcu znajdujemy się w ogrodzie różanym. Z daleka widzę przemieszczającą się przy kwiatkach sylwetkę mężczyzny. To musi być Francisco.

Podążamy w jego kierunku. Nie zwraca na nas uwagi, aż do momentu kiedy nie jesteśmy kilka metrów od siebie. Podnosi wtedy wzrok. Tak to on, Francisco we własnej osobie. Tak dawno go nie widziałam. Od naszego ostatniego spotkania przybyło mu siwych włosów na głowie, ale to nie wszystko. Wygląda na chudsze i słabsze, a przecież nie jest aż tak stary.

– Postaw ją! – podnosi głos na syna i prostuje się momentalnie. – Pani Perez – podchodzi do mnie i całuje mnie w jeden, a później w drugi policzek. – Proszę wybaczyć mojemu synowi jego zachowanie, nie wie, jak mężczyzna powinien traktować kobietę – mówi, a ja aż dębieję po jego słowach.

Sytuacja z przerażającej stała się dziwna. Nadal nie potrafię zrozumieć, co się tutaj dzieje, ale ton szefa nie wskazuje na to, żeby miała mi się stać tutaj krzywda. Wiem jedno, więzienie w złotej klatce nadal pozostaje więzieniem.

Nie jestem tutaj z własnej woli i nawet dobre słowa Francisco tego nie zmieniają.

– Cieszę się, że możemy panią tutaj gościć – dodaje pogodnie, a ja nie potrafię na to odpowiedzieć. – Zaprowadź panią Marinę do jej pokoju – mówi oschle do syna.

Jesus nie jest zadowolony z takiego obrotu sprawy, jednak nie sprzeciwia się ojcu. Rusza w kierunku domu, a ja idę za nim. Nie chcę podważać tego, co powiedział Francisco, bo póki co, jest moim jedynym sprzymierzeńcem bez względu na jego prawdziwe intencje.

Dochodzimy do kamiennych schodów prowadzących na taras. Wchodzimy po nich na górę. Widzę przed sobą basen, a za nim całkowicie przeszkloną ścianę. Obracam się za siebie. Dom Navarro znajduje się na całkowitym pustkowiu. Nie widzę nic w oddali, żadnego budynku w zasięgu mojego wzroku.

Dochodzimy do szklanych drzwi. Jesus otwiera je przede mną i wpuszcza mnie do środka, w którym czeka na nas jakaś kobieta. Ubrana w fartuch jak gospodyni lub pokojówka. Staje przede mną i się uśmiecha.

– Maresol – zwraca się do niej. – Zaprowadź panią Perez do jej pokoju.
– Jeśli mogę coś powiedzieć. – Spoglądam na Jesusa.
– Jeśli musisz. – Wzdycha głośno.
– Chciałabym pokój jak najdalej od pokoju pana Navarro – mówię.
– Od Francisco? – pyta kobieta.
– Widzisz, nawet tutaj potwierdzają, że pan Navarro jest tylko jeden. – Widzę, jak zaczynają mu drgać usta,
a Maresol powstrzymuje usilnie śmiech. – Od Jesusa – precyzuję wcześniejsze zdanie.

Maresol zaczyna mnie prowadzić w głąb rezydencji. Trafiamy z salonu do holu, a później wchodzimy po schodach. Skręcamy w lewo i idziemy dalej korytarzem. Mijamy kolejne pokoje. Tracę rachubę przy szóstym. Docieramy do ostatnich drzwi.

Maresol otwiera i przytrzymuje je przede mną.

– Proszę się rozgościć – mówi.

Wchodzę do środka, ale nie słyszę zamykanych za sobą drzwi. Odwracam się, a ona nadal tam stoi, jakby nie mogła jeszcze odejść. Patrzy się pod nogi, unika kontaktu ze mną. Przeraża mnie to.

– Jesus nie jest taki, na jakiego wygląda – mówi w końcu uśmiechając się do mnie. – Pozory często mogą nas mylić – dodaje i w końcu zamyka drzwi.

ERIN GOVISE



#2

GŁĘBOKI WDECH

Jak przemyć miłość?

